Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 88 (2288) | PIĄTEK 2 listopada 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

KLA-SÓW-KA

DZIŚ NA STR. 4–5

Do szkoły W ŚWIAT SZEROKI

BYCZYNA. To historyczne miasteczko zamieszkałe przez 2600 osób leży na północnym krańcu Opolszczyzny. Tędy przebiega trasa samochodowa na Śląsk. Tuż przy niej stoi nowoczesny dwupiętrowy budynek. W oczy najbardziej rzucają się wielkie okna i przeglądająca się w nich bujna zieleń: srebrzyste świerki, smukłe modrzewie i rozłożyste rododendrony. Malowniczo tu i nadzwyczaj czysto.

Przed 1 września obok napisu głoszącego, że jest to szkoła tysiąclatka zbudowana w 1961 roku, pojawiła się tabliczka nowa: ZBIORCZA SZKOŁA GMINNA.

C.d. na str. 4–5

POZWIERZĘTA DO AFRYKI (3)

SAFARI inż. Wagnera

JAK CIĘŻKIE TRANSPORTERY opancerzone przedzierały się nosorożce przez błoto. Całe były nim umazane. Nie śpieszyły się. Wiedziały chyba, że tu — w Parku Narodowym Murchison Falls w Ugandzie — nikt do nich nie będzie strzelał, ani nawet ich straszył. Na szerokich karkach niektórych starszych członków gromady nosorożców siedziały bąkojady — czerwonodzioby ptaki. Nosorożce mają bardzo słaby wzrok (chociaż zmysł powonienia i słuch mają doskonałe), więc bąkojady pełnią rolę ostrzegaczy przed niebezpieczeństwem — drapieżnikiem lub człowiekiem, bo wzrok mają świetny i widzą dobrze na odległość. Widocznie i nas dojrzały — opowiada inż. Józef Wagner — bo zaczęły głośno krzyczeć, a nosorożce zatrzymały się, podejrzliwie strzygąc swymi lejkowatymi uszami...

Dziś drukujemy ostatni odcinek wspomnień inż. Wagnera, dyrektora safari-zoo w Dvur Králové w Czechosłowacji, którego odwiedził nasz specjalny wysłannik. Chwytanie dzikich zwierząt w Afryce — to przygoda, którą niejeden z nas chciałby osobiście przeżyć.

Stary „noso" mocno śpi!

SEN NOSOROŻCE MAJĄ MOCNY, jak rzadko które zwierzę. Nie udało mi się zaobserwować śpiących nosorożców w Murchison Falls, ale słyszałem, że w Parku Narodowym Serengeti w Tanzanii masajscy chłopcy organizują sobie oryginalną,

C.d. na str. 3

HOBBY

Okazuje się, że hobbystów nie brak i w Związku Radzieckim. Dwu braci Bronikorsów z Rostowa zbudowało dwa zegarki z drewna, każdy w swoim stylu. Ciekawe, że w tych oryginalnych czasomierzach nie ma ani jednej części metalowej... i chodzą podobno doskonale. Obecnie zegarki te znajdują się w Muzeum Techniki w Moskwie.

CAF — Broniarek

Co trzeci obywatel radziecki chodzi do szkoły

● W Związku Radzieckim działa 184 tys. szkół podstawowych. Systemem dziennym uczy się 45 milionów dzieci. Natomiast 4 miny młodych ludzi — już pracujących — dokształca się w szkołach wieczorowych. Łącznie we wszystkich szkołach radzieckich: podstawowych, średnich, wieczorowych i wyższych kształci się około 80 mln uczniów i studentów. Co trzeci obywatel chodzi więc do szkoły.

Naukę w szkołach radzieckich rozpoczyna się — podobnie jak u nas — w wieku 7 lat. Każdy musi ukończyć 8-letnią szkołę podstawową. Od 1975 r. obowiązywać będzie już 10-letnia powszechna szkoła średnia. Reforma naszego systemu oświaty również zmierza w kierunku wydłużenia (do 10 lat) obowiązkowej nauki. (b).

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI ŚWIATA

ŚWIAT WYRAŹNIE ZMIERZA KU POKOJOWI. Są jeszcze co prawda w różnych regionach kuli ziemskiej nierozwiązane problemy stanowiące zarzewie zbrojnych konfliktów. Jeżeli jednak ośrodki agresji na świecie próbują działać zbrojnie albo wzniecać napięcie wojenne, jest to działanie odosobnione i sprzeczne z powszechną opinią światową.

Mimo więc trudności coraz śmielej i skuteczniej toruje sobie drogę zwycięstwo rozsądku nad zacietrzewieniem i mądrej myśli politycznej nad awanturnictwem.

Jesteśmy dopiero u progu nowej epoki, zmierzającej do pełnej realizacji pokojowego współistnienia narodów. W tej walce o świadectwo dojrzałości świata GŁÓWNĄ OSTOJĄ JEST ZWIĄZEK RADZIECKI I WSPÓLNOTA PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH. Olbrzymią rolę w procesie normalizacji stosunków na świecie odegrały SIŁY SPOŁECZNE jednoczące się od 25 lat W ŚWIATOWYM RUCHU OBROŃCÓW POKOJU. POLSKA BYŁA KOLEBKĄ TEGO RUCHU i poniosła niemałe zasługi w jego rozwoju i umocnieniu.

Pablo Picasso w rozmowie z przedstawicielką Cejlonu p. de Silwą na Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu.
Foto: CAF — Baranowski

ZACZĘŁO SIĘ WE WROCŁAWIU

Między 25 i 28 sierpnia 1948 r., w trzy lata po zakończeniu najkrwawszej i najbardziej nieludzkiej wojny, w warunkach podziału świata na dwa systemy — socjalistyczny i kapitalistyczny — w okresie narastania tzw. „zimnej wojny", odbył się we Wrocławiu Światowy Kongres Intelektualistów. Jego sekretarzem generalnym był znany publicysta, działacz polityczny i kulturalny, **Jerzy Borejsza.** Z jego inicjatywy ukształtował się polski ruch obrońców pokoju. Zebrani na Kongresie sławni uczeni, artyści i działacze dali początek międzynarodowemu ruchowi pokoju. Zwrócili się z apelem o łączenie się wszystkich ludzi dobrej woli na całym świecie w obronie pokoju, o organizowanie krajowych komitetów pokoju i demaskowanie sił zmierzających do napięcia sytuacji międzynarodowej. Wyłoniono wówczas Międzynarodowy Komitet Łączności Działaczy Kultury w Obronie Pokoju.

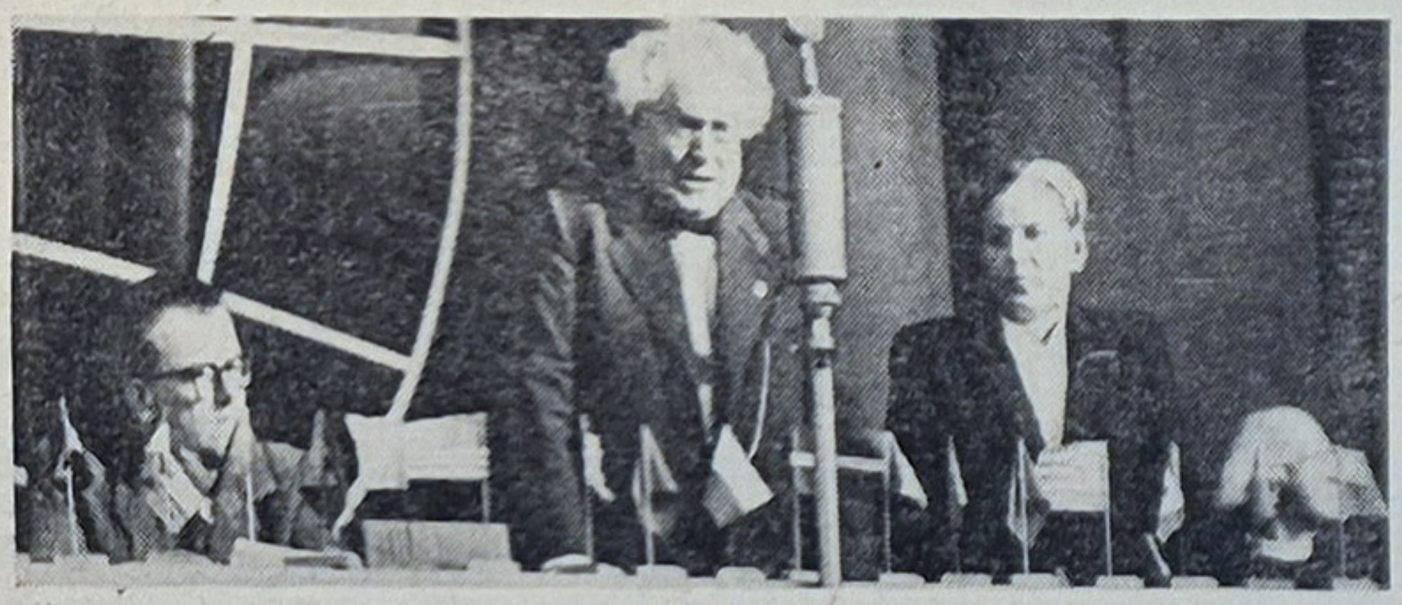

Kongres Intelektualistów we Wrocławiu. Do zebranych tłumów przemawia przewodniczący wiecu — znany pisarz duński Martin Andersen Nexö. Z lewej strony — inicjator ruchu obrońców pokoju w Polsce — Jerzy Borejsza.
Foto: CAF — Baranowski

ROSNĄCY RUCH W SKALI ŚWIATOWEJ

Na skalę światową ruch obrońców pokoju ukształtował się na I Światowym Kongresie Pokoju, który obradował 20—25 kwietnia 1949 r. jednocześnie w Paryżu i Pradze. Z jakim trudem rozwijała się ta najbardziej humanitarna inicjatywa, świadczy fakt, że 300 delegatów musiało obradować w Pradze z powodu nie otrzymania francuskich wiz wjazdowych.

Szczególnego znaczenia nabrał ruch obrońców pokoju po wybuchu wojny w Korei w r. 1950. Stały Komitet Światowego Kongresu Obrońców Pokoju opublikował wówczas słynny „Apel Sztokholmski". Apel ten podpisało *ponad 500 milionów ludzi*, a głosił on m. in.: *„Żądamy bezwzględnego zakazu broni atomowej, jako narzędzia agresji i masowej zagłady, oraz rozciągnięcia ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tej uchwały. Uważać będziemy za zbrodniarza wojennego każdy rząd, który pierwszy zastosuje broń atomową przeciwko jakiemukolwiek krajowi".*

Światowy ruch pokoju stawał się siłą, z którą musiały się liczyć rządy nawet największych państw.

Opracował
WACŁAW BISKO

WIELKIE WYDARZENIE W WARSZAWIE

Od 16 do 21 listopada 1950 r. obradował w Warszawie w Domu Słowa Polskiego II Światowy Kongres Obrońców Pokoju z udziałem 1396 delegatów z 61 krajów. Tu uchwalono Manifest do Narodów Świata i orędzie do ONZ domagające się przerwania wojny w Korei, redukcji zbrojeń i zakazu użycia broni nuklearnej. Tu również powołano do życia **Światową Radę Pokoju** — organ kierujący światowym ruchem pokoju. **Międzynarodową Nagrodę Pokoju** otrzymali wówczas m.in. Wanda Jakubowska za film „Ostatni etap", Pablo Neruda za poemat „Niech się zbudzi drwal", Nazim Hikmet za całość twórczości poetyckiej, Pablo Picasso za pierwszego „Gołębia Pokoju", Paul Robeson za pieśni pokoju.

Międzynarodową Nagrodę Pokoju otrzymało miasto Warszawa.

ŚWIATOWA RADA POKOJU

JEST TO ORGAN kierowniczy i koordynujący działalność ruchu pokoju na całym świecie. Wybierana jest na światowych kongresach pokoju. Określa ogólną działalność ruchu obrońców pokoju, analizuje najbardziej aktualne problemy walki o pokój i podejmuje odpowiednie decyzje. W skład jej wchodzi ostatnio ponad 700 osób ze 124 krajów. Sesja Światowej Rady Pokoju wyłania stałe działające prezydium.

Pierwszym przewodniczącym ŚRP był FRYDERYK JOLIOT CURIE. Obecnie sekretarzem generalnym ŚRP jest ROMESCH CHANDRA (czyt. Romesz Czandra).

W ubiegłym roku Światowa Rada Pokoju zwróciła się z apelem zwołania Światowego Kongresu Sił Pokojowych. Apel głosił:

„Sytuacja na świecie wymaga, aby NA PODSTAWIE OSIĄGNIĘTYCH SUKCESÓW rozszerzały się i rozwijały bez względu na istniejące różnice w sądach i poglądach WSPÓLNE AKCJE WSZYSTKICH ORGANIZACJI I RUCHÓW SPOŁECZNYCH, w imię ugaszenia ognisk agresji i wojny, zlikwidowania ucisku i wyzysku kolonialnego, zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa na całym świecie".

W wyniku tego apelu zwołano w Moskwie 25 X 1973 r. Światowy Kongres Sił Pokoju.

KONGRES SIŁ POKOJU W MOSKWIE

Uczestniczą w nim delegacje ze 130 krajów i ponad 100 międzynarodowych organizacji. Gromadzi on reprezentantów różnych warstw i grup społecznych, działaczy politycznych, związkowych, stowarzyszeń młodzieżowych i kobiecych, ludzi o różnych poglądach politycznych, filozoficznych i różnych wyznań religijnych.

Jest to najbardziej reprezentatywne forum społeczności światowej w 25-letniej historii ruchu obrońców pokoju.

Odbywa się w warunkach procesu międzynarodowego odprężenia i likwidacji wielu napięć w stosunkach międzynarodowych.

Te korzystne przemiany są przede wszystkim rezultatem konsekwentnej polityki pokojowej ZSRR, Polski i innych państw socjalistycznych.

Wokół tych inicjatyw gromadzą się coraz liczniej wszystkie postępowe siły świata. Stwarza to wielkie nadzieje, iż wieloletnia walka o świadectwo dojrzałości świata, o pokój, na Moskiewskim Kongresie walnie przyczyni się do tego, że proces odprężenia na świecie i pokojowego współistnienia stanie się nieodwracalny.

Do spraw największego w świecie Kongresu Sił Pokoju powrócimy w jednym z najbliższych numerów.

13 maja 1971 r. odbyło się posiedzenie Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie. Uczestniczyło w nim 700 delegatów reprezentujących 124 kraje.

Na zdjęciu: Sekretarz Generalny ŚRP Romesch Chandra przemawia na otwarciu posiedzenia.

CAF: Interphoto

PRAWIE ŻE MUNDUREK

DOM MODY „ŚWIATA MŁODYCH"

PROPONUJĘ dziś strój uniwersalny, wygodny, ładny, popularny — czyli kurtkę. Tak jak i spodnie stała się ona już czymś w rodzaju mundurka współczesnej dziewczyny. Trudno się bez niej obyć.

Kurtki jesienno-zimowe różnią się nieco od tych, o których rozmawiałyśmy wiosną. Są przede wszystkim znacznie dłuższe — sięgają minimum za biodra, a często aż do połowy uda. Najmodniejsze kurtki uszyte są z materiałów włochatych, puszystych, takich, które już na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie miękkości, przytulności i ciepła. Nie kończy się zresztą na wrażeniu — kurtka rzeczywiście powinna być ciepła.

Dominują fasony sportowe obfitujące w różnego rodzaju patki, kieszenie, karczki, stębnowania, mankiety ozdobione guziczkami. Bywają kurtki z paskami, przeważają jednak zupełnie luźne. Rasowa kurtka powinna mieć poza tym kaptur, albo co najmniej duży kołnierz, który można postawić, którym można się otulić prawie po czubek nosa.

Do kurtek nosi się przeważnie spodnie. Jest to jedyna gwarancja, aby było nam naprawdę ciepło. Oczywiście kurtka wygląda dobrze i ze sportową, zimową spódniczką — z grubego materiału, plisowaną lub układaną w fałdy. W tym wypadku wykluczone są jednak cienkie pończochy i rajstopy. Jest to niemodne, odbiega od całego stylu. Pończochy powinny być jak najgrubsze, wzorzyste, np. w prążki.

Na głowie przeważnie włóczkowe czapeczki z wywiniętym mankietem. Możecie je zrobić same. Najprostszy sposób: pojedyńczym ściągaczem (jedno oczko lewe, drugie prawe) robicie prosty kawałek o szerokości waszego obwodu głowy i o długości ok. 30 cm. Gdy to już jest gotowe, zostawiacie jeszcze spory kawałek (ok. 1/2 m) nitki, nawlekacie ją na grubą igłę, przeciągacie ją przez wszystkie oczka, mocno je ściągacie, a następnie tą samą nitką delikatnie zszywacie oba boki. Czapka gotowa. Potrzeba na nią ok. 15 dkg anilany, ok. 10 dkg wełny, a jeśli zdobędziecie gdzieś mohair — to wtedy 5 dkg. Ja już zrobiłam w ten sposób dwie czapki i doszłam nawet do pewnej wprawy.

WASZA RIUSZKA

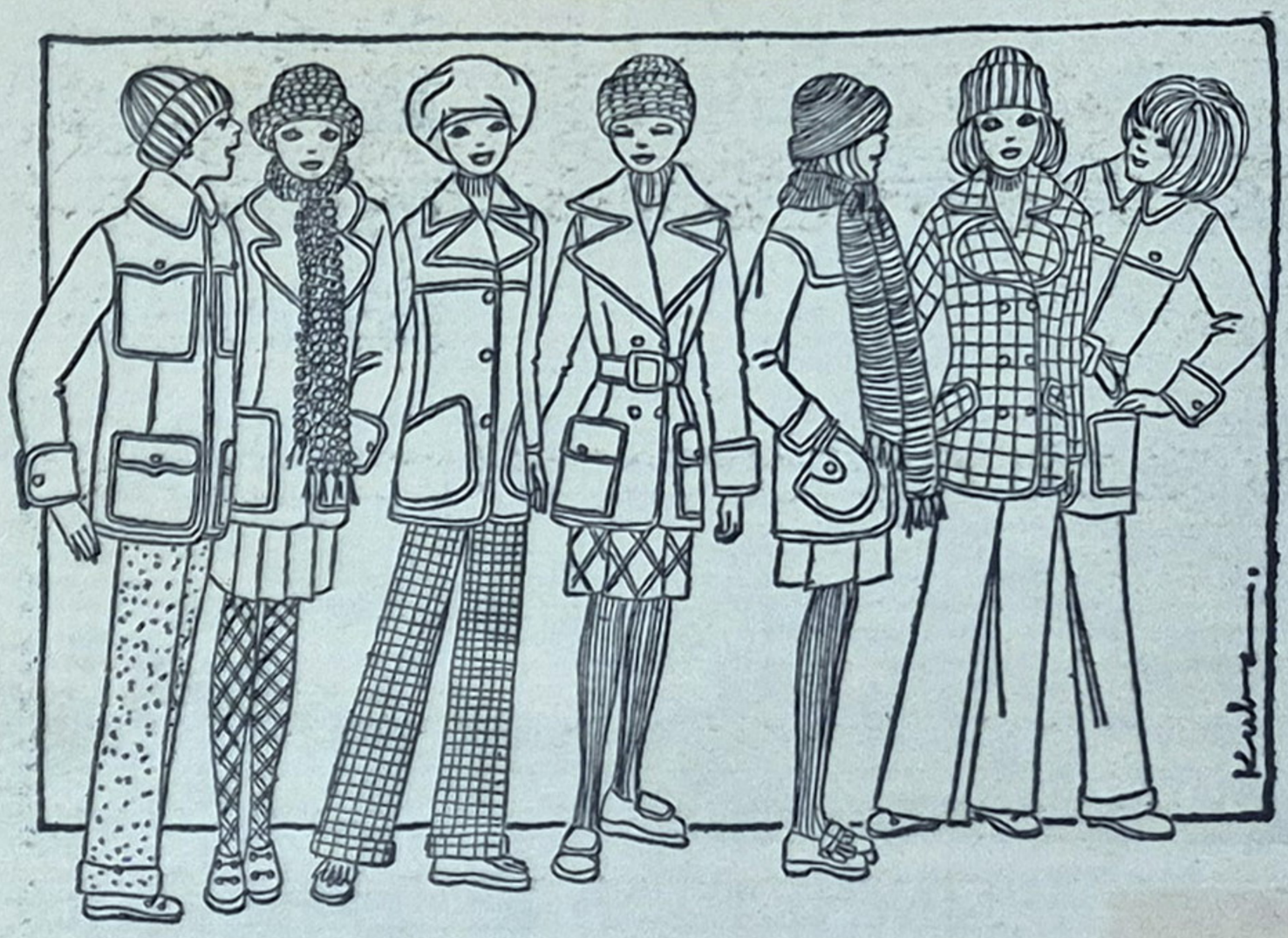

CIĄG DALSZY ZE STR 1

SAFARI inż. Wagnera

choć bardzo niebezpieczną zabawę z nosorożcami.

Jeden z chłopców podkrada się cichcem i kładzie śpiącemu zwierzęciu kamień na grzbiecie. Drugi ma za zadanie ten kamień zabrać. Trzeci znów kładzie kamień, czwarty go zabiera. I tak w kółko, dopóki nosorożec nie przebudzi się. Muszę przyznać, że młodzi Masajowie nie należą do tchórzliwych.

Strączki dla gerenuka

AFRYKAŃSKIE DZIECI pomogły nam bardzo, kiedy na terenie Kenii, w czasie innej naszej ekspedycji, złowiliśmy dużą rzadkość — gerenuka, piękne zwierzę z rodziny antylop. Musiał przejść okres aklimatyzacji w naszym obozie łowieckim na lewym brzegu rzeki Tana, niedaleko wsi Mbala-Mbala. Ale trzeba było go karmić, a gerenuk ponad wszystko przekładał strączki akacji. To nam było na rękę, bo w naszej ojczyźnie mamy sporo akacji. Ale na razie w Afryce trudno było nam, zajętym odłowem zwierzyny, trudnić się zbiorem strączków. We wsi była szkoła. Porozmawialiśmy sobie z czarnoskórymi uczniami i nauczycielami. Tak się zrodziła akcja „Strączki dla gerenuka". Bo któż umiał zbierać je zręczniej, niż murzyńskie dzieci? Od tej pory gerenuk rósł i piękniał, mając zawsze pełen żłób paszy. Dziś też jest oczkiem w głowie naszego safari-zoo.

Straszny człowiek — kłusownik

PEWNEGO DNIA, w czasie odłowu zwierząt w Ugandzie, schwytaliśmy żyrafę, która miała na tylnej nodze wnyko z drutu. Skóra odarta, mięśnie ponadcinane. To dzieło kłusowników. Oswobodziliśmy zwierzę od tego diabelskiego urządzenia i puściliśmy żyrafę wolno. Po drodze do obozu dostrzegliśmy z daleka grupę padlinożernych marabutów i sępów. Co je tam ściągnęło? Świeżo zabita samica kongoni (antylopa końska), która miała odcięte oba zadnie udźce. Te z kolei znaleźliśmy dwieście metrów dalej, ukryte w trawie. Kłusownictwo w Ugandzie i w całej Afryce kwitnie! Co roku giną w ten sposób dziesiątki tysięcy zwierząt. Wielokrotnie widziałem żyrafy zabite tylko dla... ogona, z którego skóry można wykonać do dwudziestu „bransolet" ozdabianych potem koralikami. Dalsze tysiące zwierząt zabijają łowcy na legalne zezwolenia, również tylko dla skór, kości słoniowej lub rogu nosorożca, uważanego ciągle jeszcze za „cudowne lekarstwo" m.in. na odmłodzenie.

Pierwszy tysiąc kilometrów

SPRÓBUJCIE sobie to wyobrazić. Inż. Wagner miał do przetransportowania z odległej Ugandy do Czechosłowacji m.in. 45 żyraf, 10 antylop, 4 zebry, 13 strusi afrykańskich. To musiała być cała — prawie wojskowa — operacja. Oto jak opowiada o tym nasz rozmówca:

— Zwierzęta trzeba było przygotować przede wszystkim od strony zdrowotnej, zaleczyć do maksimum ewentualne zranienia, odrobaczyć, zdezynfekować. Nie było też rzeczą łatwą zgromadzić odpowiednią ilość paszy na drogę. A mieszkania dla zwierząt? Każda żyrafa na przykład musiała podróżować w oddzielnej skrzyni-klatce.

Szóstego kwietnia 1970 r. drugi transport zwierząt ruszył pod dowództwem Eddiego, naszego czarnoskórego mechanika, w tysiąckilometrową podróż pociągiem z Tororo w Ugandzie do portu Mombasa w Kenii. Klatki poustawiano na kolejowych platformach, przymocowano linami i łańcuchami, zabrano paszę na drogę i... jazda! My polecieliśmy samolotem, by przygotować miejsce dla zwierząt na holenderskim statku m/s „Bawean".

Wokół Przylądka Dobrej Nadziei

DROGA MORSKA była nadzwyczaj ciężka. Zawijaliśmy do kilku afrykańskich portów, co męczyło i zwierzęta, i nas. Mieszkańcy tych miast nie mogli zrozumieć, że nasze zwierzęta nie mogą być pokazywane na statku tłumom. W Beirze (Mozambik) było jeszcze 30 st. C i olbrzymia wilgotność, ale już w drodze do Kapsztadu temperatura spadła do 8 st. C. Zwierzęta marzły, nie mogły jeść ani spać — znajdowały się przecież na górnym pokładzie, na otwartym powietrzu, wystawione na działanie wichru, deszczu i fal. Okrywaliśmy je, czym mogliśmy: plandekami, matami z łyka, obijaliśmy klatki arkuszami dykty. Zwierzęta chorowały, przeziębiały się. Gdy statek zbliżał się do Zatoki Biskajskiej — nie mieliśmy już ani grama penicyliny. Lekarz okrętowy oddał nam do dyspozycji wszystkie swoje zapasy leków — 260 ampułek antybiotyków. W Rotterdamie trafiliśmy na zimę, w Antwerpii — również. Ale w Hamburgu było 3 st. powyżej zera. Mieliśmy za sobą około 18.000 km drogi. W Hamburgu — szybki przeładunek zwierząt na barki. Barkami Łabą do Kolina w CSRS, a stamtąd już „tylko" 90 km ciężarówkami do Dvur Králové.

Tu czekał na zwierzęta „obóz", taki prawie, jak w Karamoja, a na nas — rodzinny dom.

— Wszystkich czytelników „Świata Młodych" — mówi na zakończenie naszej rozmowy inż. Wagner — zapraszam do naszego safari-zoo, gdzie w zasięgu już nie oka, ale ręki są egzotyczne zwierzęta z dalekiej Afryki. Wiele z nich urodziło się już u nas, w Dvur Králové! Warto je zobaczyć w Zielonej Dolinie, w środku Europy!

JAN STYKOWSKI
Foto: J. Wagner

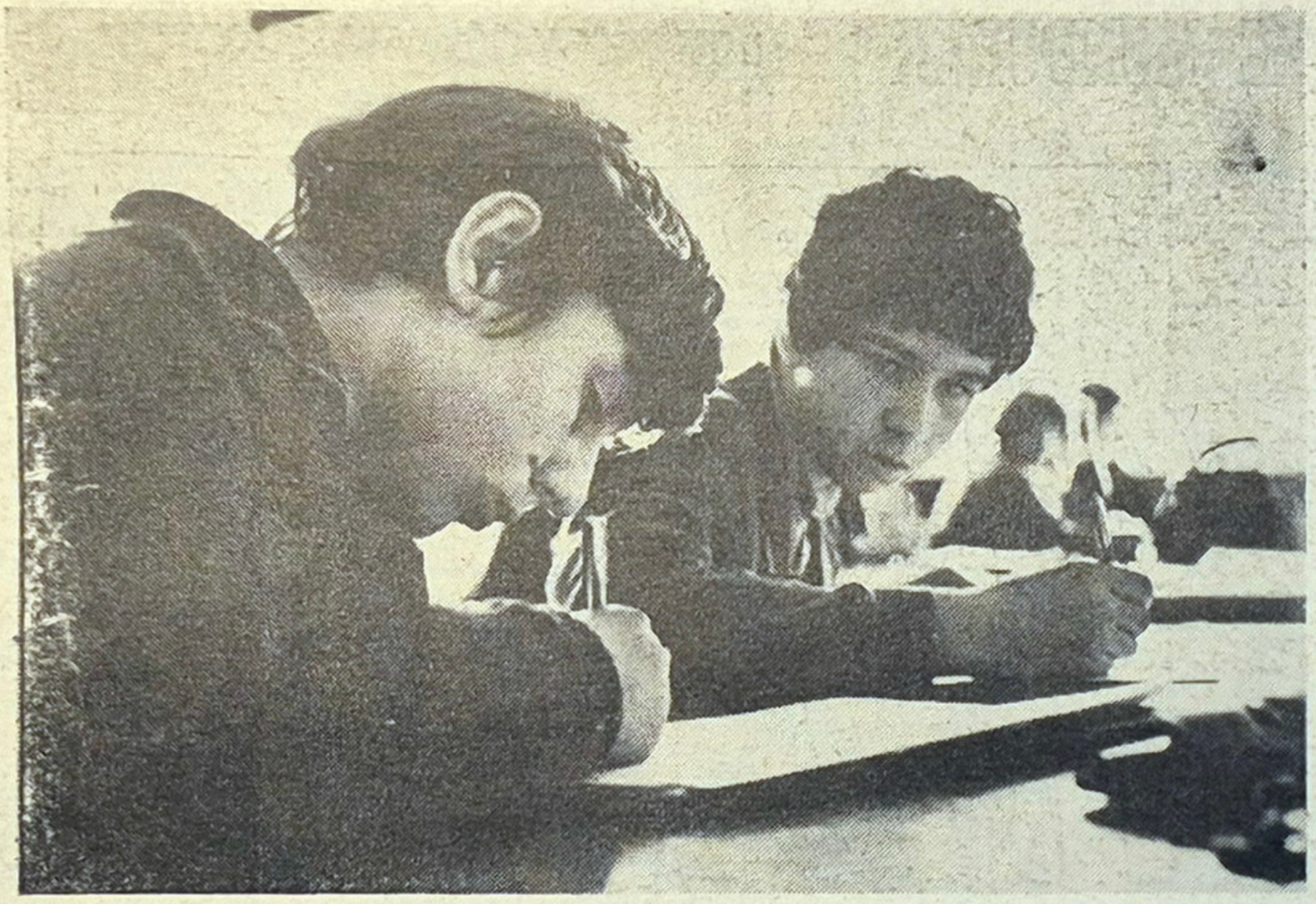

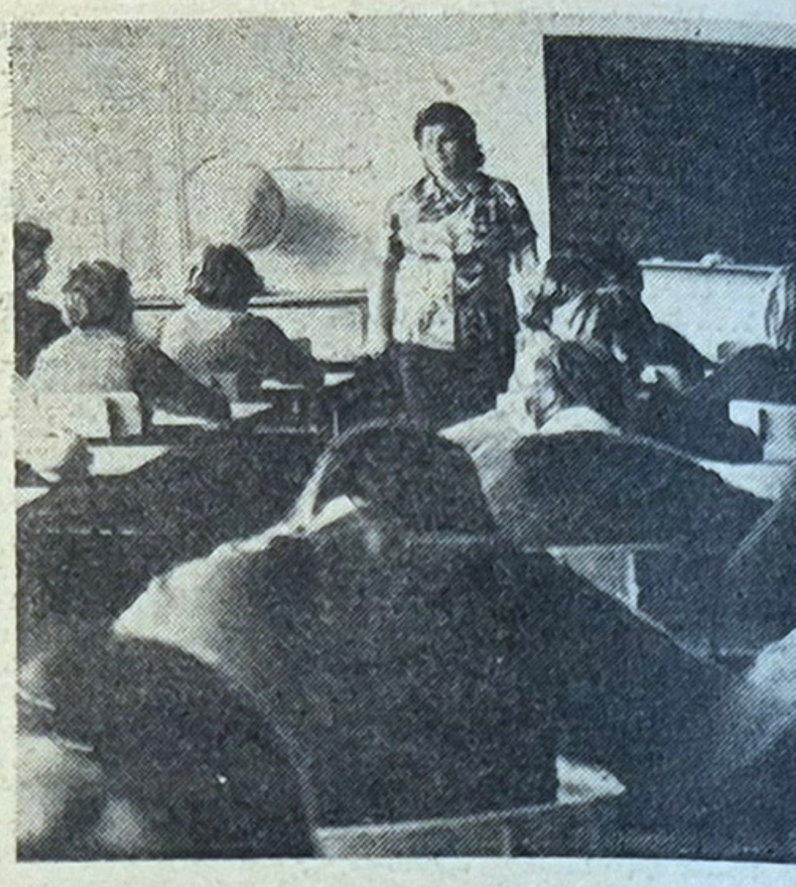

SZKOŁA

NA POCZĄTKU czyste kartki, pełna napięcia cisza i oczy wlepione w tablicę. W chwilę potem temat i... dla wielu najlepszych koniec emocji, a ci z lukami w materiale jeśli nie wiedzą, to podejrzewają: wygrałem czy przegrałem.

— *Australia jest kontynentem na półkuli południowej i wraz z obszarem wyspowym Tasmanią i Oceanią zajmuje powierzchnię 7,7 mln km². Rozciągłość południkowa wynosi...*

— Krystyna — szept — jaka jest rozciągłość południkowa?!

— *...3150 km, równoleżnikowa 4030 km. Australia jest najsuchszym kontynentem...*

Co dalej?

— Krystyna?!

— Później, później.

— *Jeszcze tylko 20 minut, a ona mówi mi „później". Koleżanka!*

— *Anka obgryza paznokcie, pewnie też nie wie. Australia. Dziki ląd, biała plama, nie, nie na mapie, w pamięci.*

— *Co?! Tam już ktoś skończył?! Wszystko przez ten film w telewizji wczoraj wieczorem...*

Dzwonek. W klasie wrze: Napisałem, nie napisałem, poszło gładko, źle, tragicznie. Znawca tematu ociera pot z czoła — pomógł napisać parę prac.

Czy ktoś mówi, że klasówki nie są potrzebne?

W żadnej innej sytuacji nikt tak dobrze siebie nie oceni, jak właśnie w czasie klasówki. I nie chodzi o stopień, który się potem dostanie. To już jest POTEM. Ale właśnie o te 45 minut — moment na refleksję, nie o temacie, o sobie, o swoich możliwościach. Moment sprawdzenia swojej wytrzymałości nerwowej, próby koleżeństwa. A dla nauczyciela — po prostu — sprawdzian wiadomości uczniów.

FOTOKAJETAN

C.d. ze str. 1

KTO RANO WSTAJE, TEN... GRA W PING-PONGA

PRÓCZ 432 MIEJSCOWYCH rozpoczęło u nas w tym roku naukę aż 230 uczniów z okolicznych wsi. Najdalsza oddalona jest o 9 km. Sprawą do załatwienia w pierwszej kolejności było więc zorganizowanie sprawnego i bezpiecznego transportu — mówi dyrektor szkoły, pan magister Zbigniew Biliński. —

DO SZK

Wydzierżawiliśmy od PKS jeden wóz, który rano od siódmej stopniowo przywozi dzieci z Miechowej, z Biskupic i Kochłowic, z Polanowic, Ciecierzyna i Gołkowic. Rozwożenie po lekcjach do domu rozpoczynamy o 13.30.

— Jak sobie radzi z młodymi pasażerami kierowca?

— Został „pedagogicznie przeszkolony" — uśmiecha się pan dyrektor. — Kiedyś zdarzyło się, że mu zanadto dokazywali, więc nic nie mówiąc stanął, usiadł w rowie i czyta gazetę.

Przychodzą, pytają, czemu nie jedzie. — Pojadę, jak się uspokoicie — powiada im.

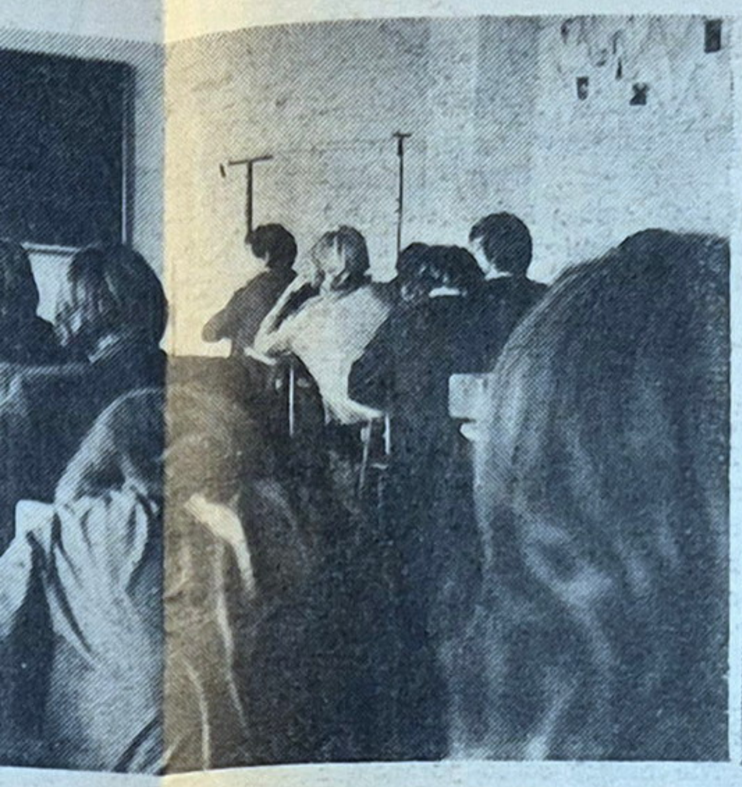

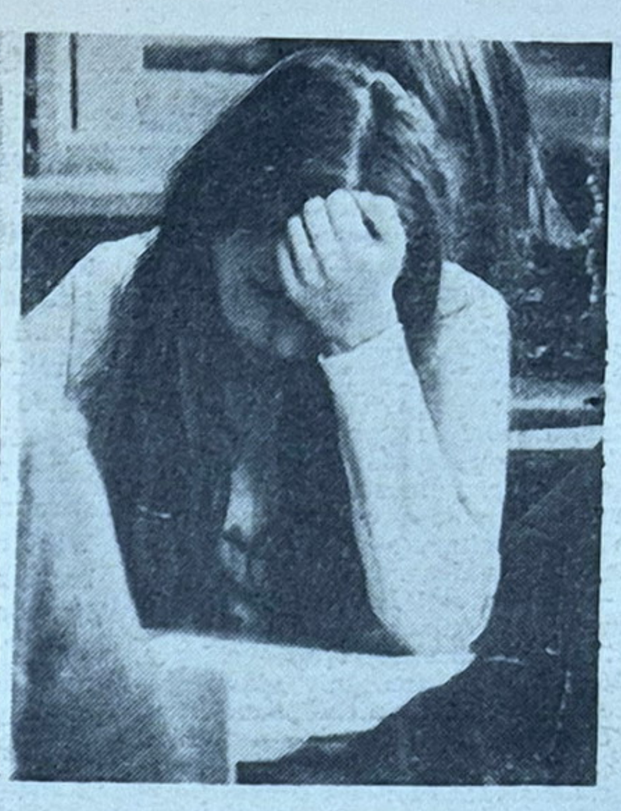

SZKOŁY W ŚWIAT SZEROKI

No i poskutkowało. Zresztą, niech pani też pojedzie i zobaczy.

Jest siódma trzydzieści. W szkole coraz gwarniej. Z niebieskiego autobusu opatrzonego napisem WYCIECZKA wysypują się kolejni chłopcy i dziewczęta. Aż miło patrzeć, tacy zadowoleni.

— Proszę bardzo! — zaprasza mnie siedzący za kierownicą Henryk Styrczewski.

— To już czwarty, przedostatni, kurs. Jedziemy do Ciecierzyna. Nie, nie muszę zaglądać do kartki, cały rozkład co do minuty mam w głowie.

Z dala przy szosie widać barwną grupę nastolatków. Autobus mija ich, bo najpierw musi wykręcić. W manewrze przeszkadzają jednak nadciągające z drugiej strony maszyny rolnicze. Kilku niecierpliwych chłopaków podbiega w naszym kierunku. Ale pan Henryk nie pozwala wsiąść. Ręką daje znak, że mają czekać tam, gdzie zwykle. I czekają.

— Dzień dobry! Dzień dobry! — odpowiada już na przystanku na ich grzeczne powitania.

Wszystkie miejsca zajęte. Ruszamy. Obok mnie usiadł pan Zenobiusz Paca, nauczyciel matematyki. Dotychczas uczył w Ciecierzynie. Teraz pozostały tam tylko klasy: I, II i III, dostał więc posadę w Byczynie i dojeżdża tam razem z 48 podopiecznymi.

— W jednym z wolnych pomieszczeń starej, małej szkoły zrobiliśmy poczekalnię dla dojeżdżających — mówi. — Wstawiłem im tam stół do ping-ponga, żeby mieli rano rozrywkę. Niektórzy są już o siódmej, jak tylko rodzice pójdą w pole. Te dojazdy to dla nich prawdziwa ładna wycieczka. Martwię się jednak, co będzie w zimie, gdy przyjdzie mróz, zaczną się zawieje śnieżne. No, w każdym razie poczekalnia będzie opalana, a drogi mamy na szczęście wszędzie doskonałe, asfaltowe.

MAGNETOFONY, ELEKTRYCZNA PATELNIA I LODOWISKO

PODCZAS KILKU PIERWSZYCH pauz przeprowadzam szybką ankietę. Jej wyniki dają się streścić w kilku zdaniach. Dojeżdżający uczniowie zachwyceni są zbiorczą szkołą. Tym, że jest tu biblioteka, dwa telewizory, dziesięć magnetofonów, kilka adapterów, radioodbiorniki. Że mogą uczyć się w pracowniach, a we wspaniałej oszklonej sali gimnastycznej rozgrywać mecze koszykówki. Lekcje są ciekawe, a do każdego przedmiotu — inny nauczyciel, taki, który potrafi odpowiedzieć na wszystkie pytania ze swojej dziedziny. W ogóle tak tu ładnie, przestronnie i czysto.

A jaka jest odwrotna strona medalu?

Pan dyrektor Biliński, który uczy historii i wychowania obywatelskiego, martwi się niezbyt wysokim poziomem „naukowym" niektórych swoich wychowanków:

— Poleciłem wszystkim nauczycielom przygotować listę uczniów z największymi brakami. Trzeba będzie zorganizować dla nich komplety wyrównawcze. W naszej szkole jest bardzo wysoki poziom, duże wymagania. Ale to się opłaca. Z tamtych polikwidowanych szkółek wiejskich mało kto szedł do szkoły średniej. Z naszej — 100 procent absolwentów uczy się dalej i nie ma trudności! Cieszy mnie wszakże fakt, że ci nowi mają ambicję dorównać uczniom z miasta.

Zmiana szkoły to przestawienie się nie tylko na inny styl nauki, lecz również inny styl życia. I w tym wypadku równanie w górę nie odbywa się bez trudności.

— Proszę pani, ile ja mam teraz roboty! — skarży się na korytarzu sprzątaczka. — Jak oni brudzą! Niektórzy butów nie chcą w szkole zmieniać, a w ubikacjach, wstyd powiedzieć, już 40 spłuczek zostało uszkodzonych.

— Czy taką cenę trzeba było zapłacić za przyzwyczajanie do nowych nawyków higienicznych? Bezmyślność to czy chęć do niewybrednych zabaw?

— Organizowałem na te tematy pogadanki i apele. Okazało się, że niestety wiele dzieci po raz pierwszy słyszy o pewnych sprawach — wyjaśnia dyrektor szkoły.

— Lekarz i dentysta to też coś nowego. Czy wyobraża pani sobie, że były uczennice, które nie chciały ubrać się w kostium gimnastyczny... Tak, lista spraw do załatwienia jeszcze nie może być zamknięta. Na przykład posiłki. Jedzą je wszystkie dzieci dojeżdżające i 80 miejscowych. Jednego dnia tylko drugie danie, następnego — zupę z chlebem. Chciałbym, aby przynajmniej cztery razy w tygodniu był to obiad z prawdziwego zdarzenia. Czekamy właśnie na wielką patelnię elektryczną... A boisko? Już dawno mam pieniądze na jego budowę, ale aż trzech wykonawców mi odmawiało. Wreszcie znalazłem takiego, który lada tydzień zacznie. Będzie najnowocześniejsze, asfaltowe, więc w zimie ślizgawka jak znalazł...

KTO W LEKCJACH POMOŻE?

KIEDY KILKANAŚCIE LAT TEMU stawiano w Byczynie tysiąclatkę, poprzedni kierownik szkoły, pan Tadeusz Wajda, chciał, żeby od razu budować większą. Gdyby jego życzenie zostało wówczas spełnione, nie byłoby dziś problemu lokalowego ze świetlicą. A tak, trzeba czekać aż „dosztukuje się" jeszcze jedno skrzydło. Póki co, w tym roku szkolnym mieszkańcy wsi prosto po lekcjach jadą do domu.

Nawet zadowoleni są z tego niektórzy rodzice, bo co tu ukrywać — dopiero skończyły się wykopki ziemniaków, a już buraki trzeba z pola zwozić. Każda para rąk do roboty się teraz przyda.

Mam jednak pewne „ale". Bynajmniej nie uważam, że nauka szkolna jest jedynym obowiązkiem córki czy syna. Z samych książek żyć i pracować nikt się przecież nie nauczy. Ale przypuszczam, że można sobie zajęcia tak zorganizować, żeby nie trzeba było wybierać: albo buraki, albo szkoła. A niestety, w czasie moich odwiedzin w Byczynie sporo uczniów z tego właśnie powodu nie przyszło na lekcje, tracąc — już na starcie — szansę dogonienia lepszych.

Tej szansy nie chce i nie może zmarnować np. Zosia Musiał, z którą po siódmej lekcji poszłam do domu, aż hen za Kochłowice.

— Siódmą klasę skończyłam we wsi Biskupice — opowiada mi po drodze. — Szkoła w Byczynie to zupełnie co innego. I nauczyciele są tu bardzo dobrzy, wszystkich traktują jednakowo. Jednak widzę, że mam braki. Muszę się bardzo dużo uczyć. Rodzice nie mogą mi w nauce pomóc, czasem wytłumaczy coś córka sąsiadki. Dlatego wolałabym odrabiać lekcje w świetlicy pod opieką nauczyciela. Jestem najstarsza z ośmiorga rodzeństwa. Mama ostatnio choruje. Chcę jak najszybciej zdobyć zawód i pójść do pracy. Może chociaż ten jeden rok nauki w nowej dobrej szkole mi to ułatwi...

☆

Z nazwą miasteczka Byczyna wiąże się ładna legenda: Przed wiekami zmęczeni wędrowcy zatrzymali się w tej okolicy z całym dobytkiem na odpoczynek. Podczas postoju jeden z byczków wykopał nogą naczynie pełne złotych monet. Ludzie poczytali to za dobry znak i osiedlili się tu nazywając później osadę Byczyną, na cześć dwurogiego poszukiwacza złota.

Dziś wizerunek byka zdobi ściany pięknej sali ślubów na Ratuszu. Skarbu — moim zdaniem — trzeba szukać nie gdzie indziej lecz w tutejszej szkole. Wszystkim jej nauczycielom i uczniom życzę, aby i w tym roku zgodnie z dotychczasową tradycją 100 procent absolwentów poszło uczyć się dalej. Z dobrym świadectwem, które będzie przepustką w szeroki, ciekawy świat.

TERESA DROGA-KUPCZYNSKA

120 lat temu zabłysła lampa Łukaszewicza

W tym roku przypada 120 rocznica zapalenia pierwszej w świecie lampy naftowej — wynalezionej i wykonanej przez pioniera przemysłu naftowego Ignacego Łukaszewicza. Zakład Doświadczalny Instytutu Naftowego w Krośnie uczcił tę rocznicę w oryginalny sposób. Z mosiądzu, miedzi i szkła wykonano wierną kopię pierwszej lampy dla zespołu szkół CZSP w Warszawie.

Oryginał lampy Łukaszewicza niestety zaginął. Krośnieńskie Muzeum Nafty, dysponujące największym zbiorem eksponatów z zakresu historii oświetlenia, także posiada jedynie kopię.

Eksponat ofiarowany szkole w Warszawie jest już trzecią kopią słynnej lampy Łukaszewicza. Pierwszą otrzymała niedawno apteka we Lwowie, gdzie mieści się Muzeum Farmaceutyczne i gdzie przed 120 laty zapalono pierwszą w świecie lampę naftową. Natomiast drugą kopię wykonano w Krośnie na prośbę Smithsonian Institute z USA dla powstającego w Waszyngtonie wielkiego Muzeum Techniki.

Górskie jeziora na Antarktydzie

W górzystych rejonach Ziemi Królowej Maud, na wysokości 1000 m n.p.m. radzieccy badacze Antarktydy odkryli jeziora pokryte wieczną warstwą lodu. Głębokość tych jezior sięga 90 m, a rozmiary ich powierzchni dochodzą do 10 km². Pokrywający jeziora lód nie pozwala im zamarznąć w zupełności. Zielone wodorosty nadają wodzie zielony, intensywny kolor.

Glony morskie na... paszę

W Kownie (Litewska SRR) powstaje kombinat do przemysłowej przeróbki glonów morskich. Mączka z alg służyć będzie do produkcji mieszanek paszowych. Natomiast jod otrzymywany z glonów znajdzie zastosowanie w medycynie i przemyśle. **(b)**

MOST

Kazimierz Gutaker (2)

WRESZCIE wydostaliśmy się na wolną przestrzeń. W miejscu, gdzie dwa przęsła stykały się z sobą widniała spora szczelina. Tkwił w niej po pas chłopiec. Matka trzymała go wciąż pod ramiona, ale widocznie nie starczało jej siły, aby malca wydobyć z pułapki, w którą wpadł niebacznie.

— Ratujcie go! — wołała szlochając.

Dwóch wieśniaków, którzy stali najbliżej miejsca wypadku, doskoczyło do chłopca. Objąwszy go wpół, próbowali wyciągnąć ze szczeliny, ale wtedy z piersi malca wyrwał się okrzyk bólu.

— Nie, nie ruszajcie go! — krzyknęła kobieta.

Wreszcie znaleźliśmy się na miejscu wypadku. W pierwszej chwili i mnie wydawało się, że wystarczy chłopca podciągnąć do góry i będzie po wszystkim. Ale pułapka była gorsza niż się spodziewałem. Choć nogi chłopca tkwiły w szparze swobodnie, to jednak stopy miał uwięzione wśród belek pod pokładem. Każdy skręt ciała narażał go na ból i groził złamaniem kości.

— Ruchome przęsło! — rzekł nagle spokojnie, rzeczowo, Figenow.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że od strony praskiej przęsła są zawieszone na podporach pływających, tworząc część ruchomą mostu. Gdy rzeką idą duże, żaglowne statki, przepuszcza się je tędy, jak przez bramę. Nie potrafiłem jednak zrozumieć dlaczego w miejscu, gdzie część ruchoma mostu schodzi się z przęsłami stałymi, powstała tak wielka szczelina. Czyżby ktoś próbował otworzyć tę wielką furtkę, mimo iż na moście znajdowali się ludzie?

— Hej, pomóżcie! — krzyknął Figenow do wieśniaków, którzy gapili się bezradnie. Następnie przeskoczył na stałą część mostu i zaczął nogą odpychać ruchome przęsło.

Stanąłem obok kapitana. Chłopi również. Zaraz dołączyło także paru mieszczan. Objęliśmy się ramionami, aby zespolić nasze siły i odpychaliśmy ruchome przęsło z zaciekłością. Na twarzy kobiety wciąż malowała się rozpacz. Widocznie ogromna masa drewna nie chciała ani na cal ustąpić wobec naszych wysiłków i nie pozwalała wydrzeć sobie ofiary. Natomiast chłopiec obserwował nas z zaciekawieniem. Ból mu pewnie nie dokuczał, a fakt, że stał się ośrodkiem zainteresowania, zobowiązywał do dzielności.

— Mamo, nie męcz się tak — powiedział z odcieniem troski w głosie. — Ja się opieram na rękach. Jak będę mógł nogą poruszać, to ci powiem.

Kobieta pokręciła głową przeczą-co. Bała się, że jak tylko wypuści syna z rąk, stanie się jeszcze coś gorszego. Równocześnie wodziła oczyma po naszych twarzach z wyrazem niemej, błagalnej prośby. Zwiększyliśmy wysiłek, ale przeciwnik wciąż nie dawał za wygraną.

— Dyszel. Dawajcie dyszel! — zawołał nagle Figenow do stangreta, którego karoca zatrzymała się na moście, gdy ją otoczył uciekający tłum.

Tymczasem z gromady otaczającej nas szerokim kręgiem, wysunął się młody mężczyzna w czarnym ubiorze żeglarskim, podobnym do tego, jaki nosił Figenow. Jednym rzutem oka ocenił sytuację i nagle jego wzrok zatrzymał się na twarzy kapitana Michała. Kaper dostrzegł go i głosem, w którym była nuta niemiłego zdziwienia, zawołał:

— Zbigniew?

— Dopiero teraz w tym młodym człowieku rozpoznałem wspaniałego pływaka, który z nurtów gdańskiej Mołtawy wydobył tonącego Skandynawa. Przez chwilę wpatrywał się w kapitana, jakby oczekując rozjaśnienia jego chmurnej twarzy i jakiegoś przyjaznego gestu. Nie doczekawszy się, skłonił tylko głowę z szacunkiem, po czym podbiegł do naszej grupy mocującej się z mostem i objął ramieniem mieszczanina stojącego na skraju. Szybko jednak zwątpił w skuteczność naszych wysiłków.

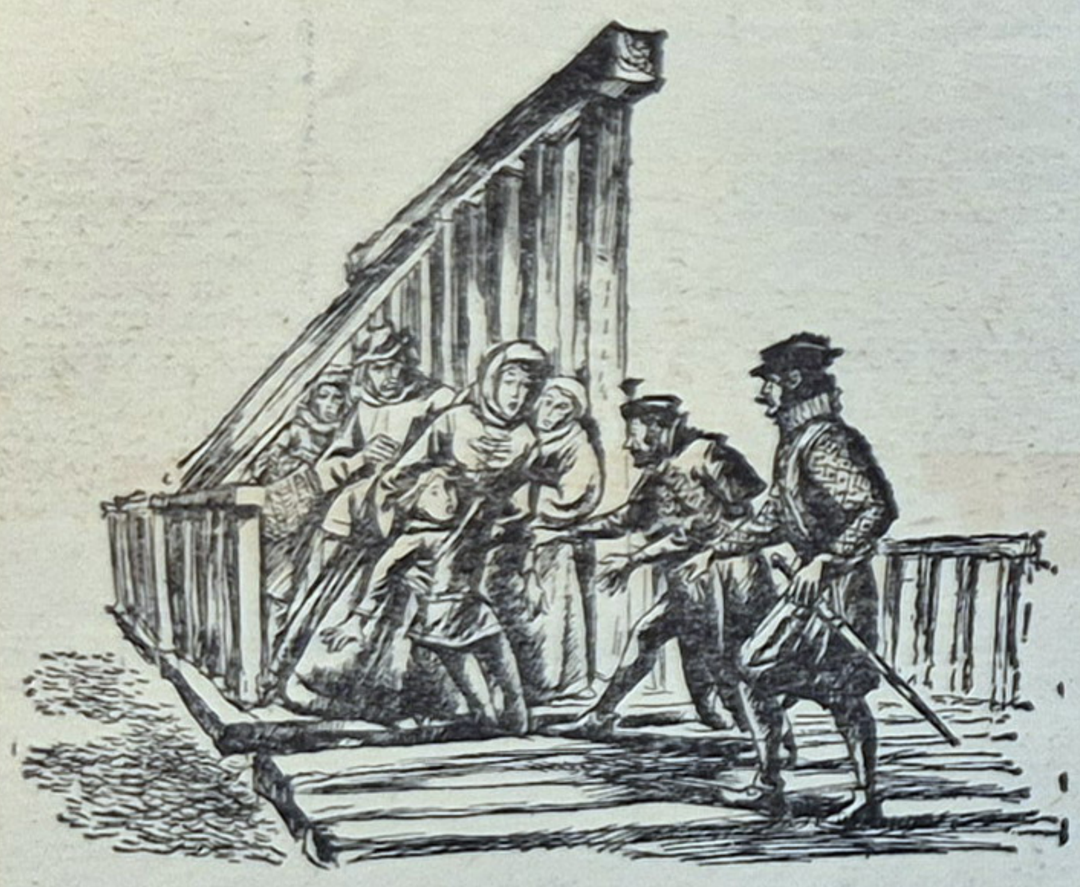

— Kliny! Kliny trzeba wbić! — zawołał w stronę gapiów, którzy stali nie opodal. Widząc, że nie zrozumieli o co mu chodzi, podbiegł do wózka, który stał obok miejsca wypadku i załadowany był garnkami z bigosem. Wyłamawszy z wózka dyszelek, wsadził go w szczelinę i mocno nacisnął. Cienka beleczka od razu pękła. Zbigniew włożył obie połówki w otwór i znów je przełamał. Zgarnąwszy wszystkie kawałki młody człowiek ukląkł obok chłopca i z wprawą cieśli zaczął wsuwać kliny w szczelinę. Praca wymagała zręczności, bo drewna były wąskie i musiał je od dołu przytrzymywać, aby nie wpadły do wody.

Kapitan Figenow zerkał na Zbigniewa lekceważąco, ale wyraz jego twarzy od razu się zmienił, gdy tamten po wsunięciu ostatniego klina zawołał do mężczyzn stojących w pobliżu balustrady:

— Patrzcie czy fala idzie!

Wszyscy zwróciliśmy głowy w kierunku rzeki. Pochłonięci akcją ratowniczą zapomnieliśmy, że za gałarami, które przeszły już pod mostem, utworzy się szeroki kilwater. Wkrótce rozkołysana woda rozchyboce podpory mostu i wtedy albo powstanie szansa wydobycia chłopca ze szczeliny, albo jego nogi zostaną zmiażdżone.

— Zbliża się! Fala się zbliża! — zawołali wieśniacy.

Zbigniew doskoczył do chłopca, który wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, i objął go wpół. Widząc w oczach kobiety wahanie, powiedział łagodnie, ale stanowczo:

— Niech się pani nie obawia! Nie będę go ciągnąć na siłę.

Wreszcie stangret podbiegł z dyszlem. Kapitan wsadził drewno w szczelinę, ale wkrótce wygięło się jak trzcina. Pewne już było, że gdy pierwszy przechył będzie w naszą stronę, cienkie drzewo złamie się.

— Z drogi! Droga wolna! — dobiegło nagle od praskiego brzegu potężne wołanie.

Dziesiątki rozgorączkowanych ludzi powtórzyły tamten okrzyk. Pokład zadudnił pod ciężkimi krokami. Gdy ludzie odsunęli się na boki, ujrzałem biegnącego środkiem mostu olbrzyma Sebastiana. Na ramieniu niósł ogromną belkę, którą pewnie podjął ze stosu kantówek pozostawionych przez cieśli na brzegu. Ujrzawszy Figenowa przystanął.

— Jestem, kapitanie! — wykształcił głosem zadyszanym, ale zawierającym nutę cichego zadowolenia, że jednak w potrzebie znalazł się u boku swojego dowódcy i to w pełnej gotowości do spełniania jego poleceń.

— Wpychaj w szparę! — zawołał Figenow.

Olbrzym nie zwlekając wsadził kantówkę w szczelinę. Uczynił to w samą porę, bo przechył okazał się niekorzystny. Cały ciężar ruchomego przęsła runął w naszą stronę. Dzięki klinom wsadzonym przez Zbigniewa belka nie wygięła się przy pierwszym, najsilniejszym ataku. Ale pod naporem potężnej siły zaczęła po chwili wymykać się Sebastianowi z rąk. Jeszcze chwila i kantówka stanie szorcem. Wtedy doskoczyłem do Sebastiana i uwiesiłem się na belce. Zatrzymała się. Niebezpieczeństwo nie było jednak zażegnane. Wkrótce i mnie, podobnie jak olbrzymowi, oczy nabiegły krwią, żyły nabrzmiały jak postronki.

— Pomóżcie im! — zawołał Figenow do wieśniaków.

Podbiegli, uwiesili się na belce. Ruchome przęsło nie dawało za wygraną. Nie mogąc sobie poradzić z z ludźmi, zaatakowało kantówkę. Miażdżąc drzewo, próbowało wbić się w jego środek i złamać opór. Nagle jednak brzeg przęsła płynnym ruchem odchylił się w drugą stronę. Szczelina powiększyła się i w tym momencie Zbigniew wspólnie z mieszczką wyciągnął chłopca, uwalniając jego stopy z potrzasku.

— Uratowany, uratowany! — krzyknęła kobieta i dopiero teraz poleciały jej z oczu łzy jak grochy.

Chłopiec wciąż nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się przed chwilą znajdował. Kiedy położyliśmy go na deskach pokładu, aby cyrulik mógł obejrzeć stopy, malec rozglądał się z zaciekawieniem dookoła i ujrzawszy Figenowa oraz Zbigniewa, zapytał kapitana:

— Dlaczego pan i ten drugi pan macie takie czarne ubrania?

— Jesteśmy żeglarzami — odpowiedział Figenow. — Służyliśmy we flocie kaperskiej króla Zygmunta Augusta.

— A co robicie w Warszawie? — dopytywał się chłopiec.

— Przyjechaliśmy na elekcję — wyjaśnił kapitan Michał.

— To jesteście szlachcicami? — zdziwił się malec.

— Jesteśmy.

Otaczający nas ludzie przysłuchiwali się tej rozmowie z żywym zainteresowaniem. Dopiero teraz dowiedzieli się, że akcję ratowniczą przeprowadzili kaprowie. Z szeptów, jakie do mnie dobiegały, wywnioskowałem, że ludzie ci niewiele wiedzieli o kaprach i niejeden wyobrażał ich sobie jako groźnych zawadiaków, których lepiej z daleka omijać. Zaskakująca była także dla nich wiadomość, że obaj żeglarze należą do stanu szlacheckiego.

— Szlachta, a chłopską pomocą nie wzgardzili i mieszczańskie dziecko ratowali jak własne — odezwał się głośno sędziwy wieśniak.

C.d.n.

Rys. M. Kościelniak

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel. 29-35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch". 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch" 00-840 Waszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 4757 R-86

TOMIK

Zamieszczam dziś dwie wypowiedzi w sprawie możliwości istnienia życia w naszym układzie planetarnym. Są one charakterystyczne, ponieważ przedstawiają krańcowo różne poglądy na ten temat. Wydaje mi się, że bliższy prawdy jest Kazimierz Perłowski. Taki zresztą pogląd reprezentują dziś niemal wszyscy uczeni. Istot rozumnych należy szukać dalej, poza Układem Słonecznym, gdzieś wokół gwiazd ,które posiadają — podobnie jak Słońce — planety. O problemach tych mówi częściowo artykuł pt. „Zagadkowe sygnały z Kosmosu". Jeśli macie coś do powiedzenia na ten temat — czekam na Wasze listy.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Zagadkowe sygnały z KOSMOSU

W **1938 roku zrealizowano** w Stanach Zjednoczonych słuchowisko radiowe na podstawie książki Wellsa pt. „Wojna światów". Słuchowisko było zrobione tak realistycznie, iż wywołało w USA prawdziwą panikę. Ludzie byli przekonani, że Marsjanie rzeczywiście wylądowali na Ziemi.

Podobną sensację, ale już bez paniki, wywołało w tym roku oświadczenie szkockiego uczonego Duncana Lunana z Galsgow. Twierdzi on, że wokół Ziemi krąży obcy statek kosmiczny, inteligentnie reagujący na sygnały radiowe. Obszerny list Andrzeja Ołtarzewskiego z Wąbrzeźna na ten temat zamieściliśmy w poprzednim wydaniu ToMiKa. Niestety, muszę Was rozczarować — oświadczenie Lunana nie pokrywa się z badaniami obserwatoriów astronomicznych. Owszem, co pewien czas radioteleskopy rozmieszczone w różnych punktach Ziemi odbierają dość regularne sygnały z Kosmosu, ale po dokładniejszych analizach okazywało się, że nadawcami ich były... pulsary, czyli gwiazdy wysyłające silne impulsy promieniowania radiowego.

Jedynym możliwym sposobem porozumienia się z cywilizacjami pozaziemskimi są fale radiowe, które odbierają radioteleskopy.

Czy to oznacza, że nie istnieją we Wszechświecie wysoko rozwinięte cywilizacje istot rozumnych, które mogą wysyłać jakieś wiadomości o sobie? Nikt tak nie twierdzi.

Przed dwoma tygodniami obiegła świat wiadomość, że grupa uczonych radzieckich zarejestrowała w obserwatorium w Gorkim regularne sygnały radiowe z Kosmosu. Czy są to sygnały naturalne, emitowane przez jakieś ciało niebieskie, czy sygnały sztuczne, wysłane z innego systemu planetarnego przez wysoko rozwiniętą cywilizację techniczną — w tej chwili nie wiadomo.

„Uśmiech" delfina

Bardzo interesujące doświadczenie przeprowadzili w tej dziedzinie uczeni australijscy i nowozelandcy. Otóż wysunęli oni hipotezę, że wysyłane przez pulsary sygnały radiowe są zakodowanymi informacjami od innych cywilizacji kosmicznych. Kłopot tylko w tym, że my nie potrafimy zrozumieć ich „języka". Sygnały rejestrowane przez astronomów nie są kierowane na Ziemię. Innymi słowy — w Kosmosie utrzymywana jest stała więź między wysoko rozwiniętymi cywilizacjami, a my jedynie „podsłuchujemy" fragmenty tych „rozmów" nic z nich nie rozumiejąc.

A gdyby tak do rozmów tych włączyć delfiny? — pomyśleli Australijczycy. Zwierzęta te porozumiewają się za pomocą impulsów ultradźwiękowych o szerokim zakresie — od 16 do 200 impulsów na 1 sekundę. W podobnym zakresie „pracują" również pulsary. Trzeba tylko przekształcić radiowe impulsy pulsarów na impulsy ultradźwiękowe i dać do posłuchania... delfinom. Co one z tego zrozumieją?

Doświadczenie odbyło się w Nowej Zelandii w basenie, do którego wpuszczono samicę delfina. „Tłumaczone" na ultradźwięki impulsy pulsara przekazywano na dno basenu specjalnym mikrofonem. Z początku delfin nie reagował na sygnały z mikrofonu. Dopiero pod koniec drugiego dnia podpłynął do urządzenia i tkwił tam bez przerwy. Nie chciał trenować. Przez całą noc słuchał uważnie dźwięków i przed świtem nagle „wybuchnął dzikim śmiechem" — jak to określili badacze. Oznaczałoby to, że delfin zrozumiał sygnały nadawane przez pulsara.

Co sądzić o tym dziwnym eksperymencie? Wydaje się, że nie można na tej podstawie wyciągać żadnych wniosków. Czy delfin „zrozumiał" czy nie zrozumiał sygnałów pulsara, nie dowiemy się nigdy, bo „język" tych zwierząt jest dla nas taką samą niewiadomą, jak i ewentualny język naszych „kosmicznych braci". Nadal więc nic o NICH nie wiemy.

Do problemu nawiązania łączności z cywilizacjami kosmicznymi jeszcze wrócimy. Przedstawię Wam co sądzą o tym najtęższe głowy naszej planety.

Galaktyka spiralna, jakich jest we Wszechświecie miliony, składa się z ogromnego zbiorowiska gwiazd. Może wokół którejś z nich znajdują się ONI?

KSIĘŻYCE MARSA
tworami istot rozumnych?

Co do przysłowionej kropki nad „i" to są dwie kropki, a nie jedna, a mianowicie Phobos i Deimos. Nie było astronoma, który nie zastanowiłby się nad pochodzeniem tych dwóch ciał. Istnieje hipoteza, że są one wytworami marsjańskiej cywilizacji. Można dostrzec je przez każdy teleskop o średnicy większej od 11 cm, oczywiście przy odpowiednich warunkach atmosferycznych. Dlaczego więc w roku 1862 W. Horschel i d'Arrest, którzy korzystali z lepszych przyrządów, nie dostrzegli Phobosa i Deimosa? Dowodzi to, że przed rokiem 1862 Mars nie miał satelitów. Więc skąd się wzięły? Mogły to być złowione przez Marsa asteroidy. Ale prawdopodobieństwo złowienia ich jest niewielkie. Oba te ciała mają orbity idealnie kołowe i krążą dokładnie w płaszczyźnie równika. Nie zaprzeczam, że mógł to być przypadek, a przypadki zdarzają się dość często we Wszechświecie. Lepiej pasuje tu hipoteza, że Phobosa i Deimosa zbudowali Marsjanie. A może nie, może pochodzą one z innego systemu planetarnego? Tylko dlaczego krążą wokół Marsa, a nie wokół Ziemi? A może twórcy ich boją się nas i obserwują tylko rozwój naszej cywilizacji?

Marek Iwaniak
Elbląg

Nie wierzę w istnienie MARSJAN

W KĄCIKU TOMIKA zabieram głos pierwszy raz. Interesuję się bardzo hipotezami o istnieniu życia w Kosmosie. Najbardziej jednak interesujące są hipotezy o życiu na planetach bardzo bliskich Ziemi — Marsie i Wenus.

Czy istnieje tam życie i w jakiej formie? To pytanie zadaje sobie spora grupa naukowców zajmujących się tym zagadnieniem. Człowiek posiada najwięcej wiadomości o fizyce tych ciał niebieskich. Wszyscy czekamy, aż na Marsie wyląduje ekspedycja naukowa z Ziemi. Sądzę raczej, że na Marsie życie nie występuje w żadnej formie. Zgadzam się natomiast z prof. Saganem, który twierdzi, że życie może rozwijać się w krańcowo różnych warunkach.

Na Ziemi funkcjonowanie struktur organicznych opiera się na takich składnikach jak azot, fosfór i przede wszystkim węgiel, oraz wodzie, jako rozpuszczalniku. Na innych ciałach niebieskich możemy teoretycznie założyć, że główne składniki struktur organicznych opierałyby się np. na krzemie lub germanie, a jako rozpuszczalnik mógłby posłużyć amoniak.

W laboratoriach przeprowadzone zostały doświadczenia, które popierają tezę o możliwości istnienia życia na Marsie. W urządzeniu wytwarzającym warunki panujące na Marsie umieszczono kilka ziemskich mikroorganizmów. Wszystkie przetrwały okres dwutygodniowy. Ponadto dwa z nich były w stanie rozmnażać się. Wynik tego doświadczenia wskazuje, że życie na Marsie może istnieć, choć w bardzo prostej formie. W atmosferze Marsa znajduje się dwutlenek węgla, który, jak wiadomo, jest niezbędny dla istnienia ziemskiej roślinności. Natomiast nie wykryto w niej ozonu, który stanowi barierę ochronną przed skutkami promieniowania ultrafioletowego. Otoczenie się wszystkich organizmów ochronnymi powłokami krzemowymi wydaje się raczej nie do przyjęcia.

Sprawa życia na Marsie pozostaje nadal nie rozwiązana. Mimo wielu istotnych wątpliwości, wynikających z analizy surowych warunków środowiska marsjańskiego, możliwość występowania na tej planecie istot żywych, a zwłaszcza drobnoustrojów, nie może być wykluczona. Mimo tego pozostaję na stanowisku, że na Marsie nie istnieją żadne formy życia.

Stanowczo proponowałbym odrzucić hipotezę prof. Tooguet o zbudowaniu przez Marsjan podziemnych miast lub o emigrowaniu w Kosmos. Technika, jaką posługiwaliby się Marsjanie przy budowie miast podziemnych, na pewno pozwoliłaby im zbudować pojazdy międzyplanetarne. A w ten sposób gościlibyśmy ich na swojej planecie. Nieprawdopodobne jest, by nasi praprzodkowie pochodzili od Marsjan. Jeśli Marsjanie wylądowali na naszej planecie iks lat temu, to gdzie podziała się ta cywilizacja, którą ze sobą przynieśli? Nie zaczynaliby chyba od kamienia łupanego, o czym świadczą wykopaliska. Także teoria Ddusina nie dopuszcza wysuwania podobnych hipotez. Marsjanie nigdy nie przylecieli na naszą planetę i nigdy nie przylecą, ponieważ nie istnieli i nie istnieją.

Kazimierz J. Perłowski
Wejherowo

Kącik korespondentów

ARTUR BARA, 23-400 Biłgoraj, Rynek 35/36 m. 44 — chciałby korespondować na tematy z astronomii.

DANUTA GRABOWSKA, 46-100 Namysłów, ul. Dubois 6 — interesuje się kosmonautyką.

UWAGA, EUGENIUSZ WOŹNIAK, 60-383 Poznań, ul. Bułgarska 136 m. 14 — dziękuję za miły list. Proponuję, aby kolega osobiście napisał do Andrzeja Ołtarzewskiego. Oto jego adres: 37-200 Wąbrzeźno, ul. Kościuszki 9.

RZEP - KLUB

O panu Zdzisławie Nowaku wiem wiele. Jest znanym w kraju i za granicą Mistrzem Łamigłową. Mam w mojej redakcyjnej bibliotece sporo napisanych przez niego książek, zawierających najróżniejsze rozrywki umysłowe. Nie spodziewałem się jednak, że otrzymam od niego list:

ASSALAM ALEJKUM RZEPIE

Jeśli starym koniom nie zabraniasz wstępu do RZEP-KLUbu, to ja też chciałbym. Powód mam. Już od wielu lat zbieram:

- *zagadki, rozrywki umysłowe (od ludowych aż po te, którymi sprawdza się przydatność człowieka do lotu w Kosmos),*
- *gry planszowe (od starożytnych aż po erę komputerową),*
- *gry ruchowe i zabawy dziecięce różnych narodów.*

Od dziesięciu lat dodatkową moją pasją — jakby tamtych było mało — stał się Uzbekistan. Podczas każdego pobytu w tym przemiłym kraju od sędziwych aksakałów wyciągam i notuję legendy, baśnie i anegdoty uzbeckie. Zebrałem ich niemało. Anegdotą o ludowym bohaterze Uzbeków, Hodży Nasreddinie, chciałbym się wkupić do klubu (czekam na jakiś znak lub znaczek).

Zdzisław Nowak

PRZYKRÓTKA KOŁDRA

POMYSŁY WŁADCÓW są jak szarańcza: pojawiają się nieoczekiwanie, niosąc poddanym przerażenie i zgubę. Głęboki sens tych słów mieli doświadczyć na własnej skórze dostojnicy pałacowi jeszcze dzisiaj. W południe emir zdecydował się przeprowadzić egzamin na spryt i wyobraźnię wśród swoich dworaków. Wezwał wszystkich do komnaty sypialnej, po czym położył się na łożu i polecił, aby okryto go całego wraz z głową przykrótką kołdrą. Wezyrowie ani rusz nie potrafili spełnić dostojnego polecenia. Co zakryją nogi emirowi — głowa pozostaje na wierzchu, co naciągną kołdrę na głowę — nogi sterczą gołe. Czas ucieka, a dworacy w coraz większym popłochu jeżdżą kołdrą w tę i z powrotem, nie zbliżając się ani o krok do rozwiązania trudnego problemu. Znudziło się emirowi przydługie wyczekiwanie, wystawił nos spod kłodry i zapytał, gdzie podziewa się Hodża Nasreddin?

— Nie ma go tutaj. Powiedział, że nie może tracić godzin nadaremnie, gdy przy uprawie winorośli oczekuje go mnóstwo wysiłku. Pracę w swoim ogrodzie ceni wyżej od pobytu w pałacu emira. Jego bezczelność nie zna umiaru ani granic. To oburzające, panie wielki. Ukaż go za to przykładnie.

Języki zawistnych wielmożów rozwiązały worek pomówień, obelg i skarg nieprawdziwych.

— Wezwać go natychmiast.

Niedługo oczekiwano na przybycie mędrca. Po kilkunastu minutach od drzwi dał się słyszeć zadyszany głos Hodży:

— Pospieszyłem na twoje wezwanie. Czego żądasz ode mnie?

— Ciebie zawsze ceniłem wyżej od tych złoconych, nadętych półgłówków — oświadczył emir głośno i dodał: — Spróbuj okryć mi nogi. Ale tak, by głowa nadal ukryta była pod kołdrą.

— Z najwyższą chęcią, panie mój — odpowiedział mędrzec. — Uczynię nie zwlekając, co każesz, jeśli mi obiecasz, że nie okażesz gniewu za udaną próbę.

— Rozgniewam się, jeśli nie wykonasz polecenia.

To mówiąc emir naciągnął kołdrę na głowę, odkrywając nogi.

Tymczasem Hodża Nasreddin wyjął z dłoni strażnika pleciony kańczug i zbliżył się do łoża. Trzepnął mocno batogiem po gołych kończynach. Władca błyskawicznie podkurczył nogi i skrył się cały pod kołdrą. W następnym momencie wyskoczył z pościeli i podskakując na piekących nogach, purpurowy na gębie, bliski apopleksji, zaczął wrzeszczeć:

— Jak śmiałeś podnieść rękę na zastępcę Allacha na ziemi? Uderzyłeś mnie batogiem, bezrozumny. Chcesz stracić głowę, w której legną się takie pomysły?

— Panie wielki, wypełniłem przecież tylko twój rozkaz — odpowiedział spokojnie Hodża Nasreddin.

ZDZISŁAW NOWAK

Redaguje
W. LEWIŃSKI

Cześć!

Jak widzicie, mam dziś na głowie wschodni zawój, jak Hodża Nasreddin. To dla uczczenia nowego członka Rzep-klubu, pana Zdzisława Nowaka. Nadaję mu klubowy pseudonim „Mistrz Łamigłowa".

Mistrzu! Znaczek wyślę natychmiast, jak tylko się wyprodukuje. Dziękuję za list i anegdotę!

Dla tych, którzy zechcą do Łamigłowy napisać podaję jego adres: Zdzisław Nowak, redakcja tygodnika ITD 00-364 — Warszawa ul. Ordynacka 9.

• • •

Uwaga! Agnieszka Tracka z Krakowa! Nie mogę wysłać Ci, Agnieszko, wylosowanej nagrody, bo Twój adres na kartce pocztowej został zamazany. Napisz szybko drugą kartkę na adres: Włodzimierz Lewiński 00-151 Warszawa ul. Nowolipki 13 m. 20.

• • •

Irek Dybowski wyszperał niezłą anegdotkę:

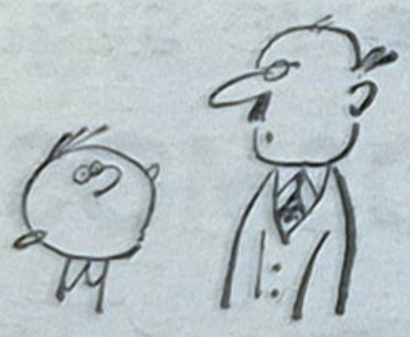

— Tato, co to jest cywilizacja?

— Cywilizacja jest wtedy, gdy chcąc dowiedzieć się jaka jest pogoda włączam telewizor zamiast wyjrzeć przez okno...

A oto pomysł wyszperany przez Małgosię Czapkiewicz.

Tyle na dziś, do zobaczenia za tydzień!

Wasz RZEP

MIKROKONKURS RZEP - KLUBU

Otrzymałem od Was ponad tysiąc kartek z rozwiązaniem konkursu. Okazało się, że nie jedno lecz dwa rozwiązania są dobre. Nagrody książkowe wylosowali: Arnold Pawelski, Stanisław Weiss, Ewa Wachnicka, Joanna Patyna, Danuta Drozdowska, Antoni Łempicki. Książki wysyłam pocztą.

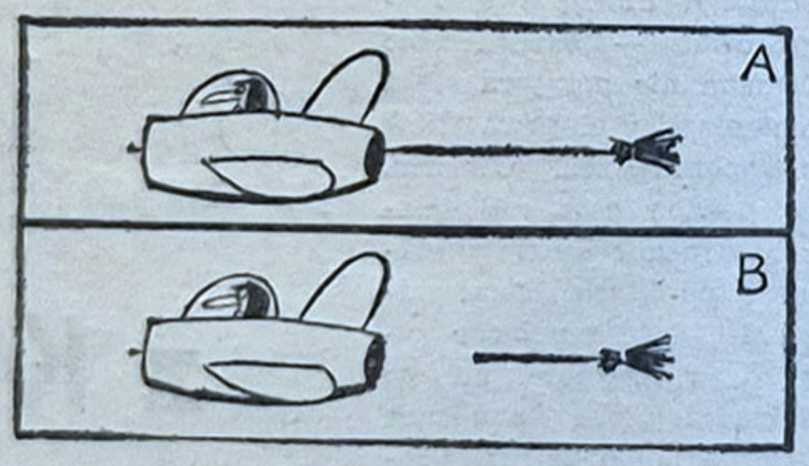

Rys. W. Lewiński